

MAGAZYN OPINII

Pismo

WOKÓŁ
WODY

WYDANIE SPECJALNE NR 1/23 | LATO 2023

PORTRET
(Podwodne) światy
Jacques'a Cousteau

Z PISMEM U...
Michała Zygmunta,
nad cichą Odrą

REPORTAŻ
W pogoni
za największymi
huraganami
na świecie

STUDIUM
Jak skutecznie
zanieczyścić rzekę

LITERATURA
Dominika Słowik
Barbara Klicka

CENA: 19,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 434035
0 1 >



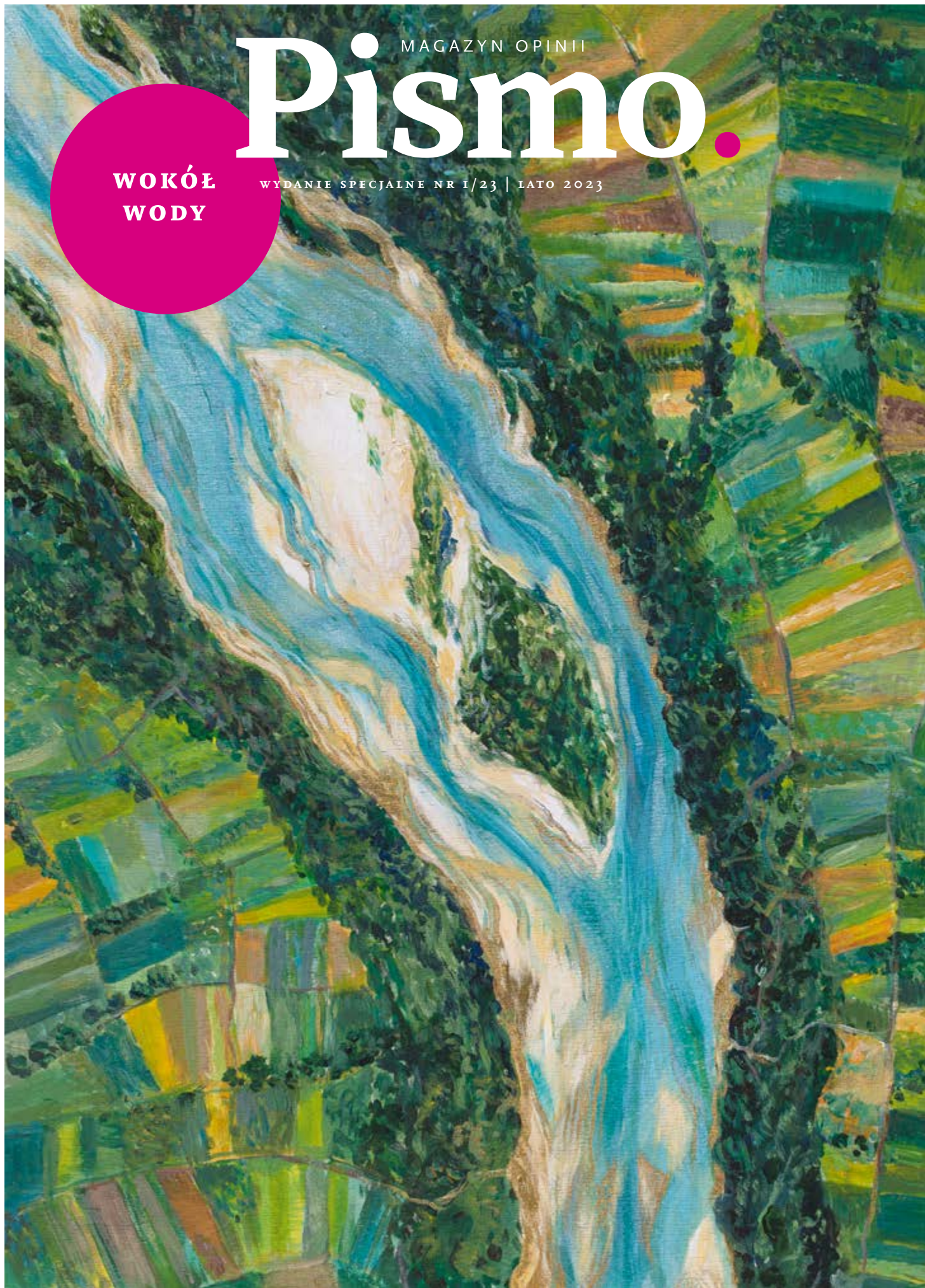
9 772544 502319

MAGAZYN OPINII

Pismo.

WOKÓŁ
WODY

WYDANIE SPECJALNE NR 1/23 | LATO 2023



Kubel zimnej wody



KATARZYNA KAZIMIERSKA
(ur. 1979),
dziennikarka
i redaktorka.
Sekretarzyni
redakcji „Pisma”.
Szefowa
działu Kultura.
Autorka cyklu
„Strategie
Przetwania”.

Zaczął się od pogrzebu zorganizowanego w 2020 roku w Islandii, w żałobie po pierwszym lodowcu, który zniknął z powodu katastrofy klimatycznej. Po pogrzebie pozostawiono tablicę z listem do przyszłych pokoleń, w którym wyjaśniono, skąd ludzie wiedzieli, jak doszło do katastrofy, i co powinno zostać zrobione. Po tym wydarzeniu światowej sławy duńsko-islandzki artysta Olafur Eliasson napisał do brytyjskiego pisarza Roberta Macfarlane’a z propozycją wspólnego projektu, który miałby „polegać na słuchaniu wiadomości od nieistniejącej jeszcze wersji samego siebie”. Od przyszłego „ja”, które już wie, co wydarzyło się w przyszłości. W 2025 roku na wybrzeżu hrabstwa Kumbria w północno-zachodniej Anglii pojawi się mierzący trzydzieści metrów stalowy basen-niecka w kształcie elipsy. Stanie blisko linii morza, więc podczas przyływu będzie zanurzać się niczym łódź podwodna, a po odpływie pozostanie w nim woda. Niecka, oglądana z położonej niedaleko platformy widokowej, ma przypominać lustro, w którym – jak pisze „The Guardian” – „będą się odbijać słońce, księżyc, niebo i pogoda”. Brzmi kosmicznie, prawda? Kosmicznie i zupełnie niepotrzebnie. Niczym obraz, tylko zamiast w galerii, umieszczony zostanie na rzadko odwiedzanym przez turystów wybrzeżu, z dala od tłumów. Jest szansa, że w ogóle nie będzie popularny, w przeciwieństwie do sugerowanego tytułu pracy: *Twoje dzienne miejsce docelowe* (*Your Daylight Destination*).

Eliasson i Macfarlane zwracają uwagę na coś bardzo ulotnego, choć ważnego – że świat nie powstał po to, by nam służyć. Nie wszystko, co istnieje czy żyje, ma nam, ludziom, do czegoś się przydać. Czy ta myśl przyświecała również tak zwanej High Ambition Coalition, czyli Wielkiej Brytanii, Unii Europejskiej, Stanom Zjednoczonym i Chinom, które pomogły w marcu 2023 roku doprowadzić do podpisania przez dwieście państw traktatu Organizacji Narodów Zjednoczonych (ONZ) o ochronie bioróżnorodności na wodach międzynarodowych? Traktat ma zapewnić ramy prawne do stworzenia do 2030 roku chronionych obszarów obejmujących 30 procent mórz i oceanów. Prace nad jego wprowadzeniem zajęły dwadzieścia lat, co trochę studzi entuzjazm. Czy postanowienia traktatu zostaną sprawnie wprowadzone, to się okaże, bo

musi zostać jeszcze zatwierdzony indywidualnie przez kraje, których dotyczy.

Dwadzieścia lat zwłoki to sporo, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, że w XX wieku kraje żyjące z gospodarki wodnej wybiły około trzech milionów wielkich wielorybów: płetwali błękitnych, kaszalotów i walenii biskajskich. Dziś populacja tych ostatnich liczy niespełna 350 osobników. A jak bardzo działalność człowieka wpłynęła na populacje mieszkańców głębin oceanicznych? Tego nie wiemy, ale zdajemy sobie sprawę, co oznacza ocieplanie się mórz i oceanów spowodowane działalnością człowieka: niszczycielskie huragany, powodzie, podnoszenie się poziomu morza, ocieplenie klimatu. Jesteśmy świadkami zmian nie do zatrzymania. Możemy je jedynie łagodzić i się z nimi oswajać.

W dokumencie *Pieśni wielorybów* (*Whale Nation*, 2023, reżyseria Jean-Albert Lièvre) narrator filmu zwraca uwagę, że Ziemia widziana z kosmosu jest niebieska z powodu otaczających ją mórz i oceanów. Dla kosmity to byłby jasny znak, że nasza planeta to dom podwodnych istot i to z nimi – nie z ludźmi – powinien się skontaktować. Czy nie byłaby to słuszna decyzja? Kaszaloty czy płetwale błękitne porozumiewają się swoimi językami, wciąż dla nas niezrozumiałymi, mają swoją kulturę, kod zachowań, tradycje i zdecydowanie większy szacunek do środowiska, w którym żyją, niż my. Takie obrazy jak wspomniane *Pieśni wielorybów* próbują obudzić w nas empatię i zrozumienie dla potrzeb gatunków innych niż człowiek. Być może zbyt naiwnie. Tymczasem Ziemia i oceany upominają się o swoje, karząc za nasze zbrodnie. I o tym jest to Wydanie Specjalne „Pisma”: o bohaterze, który zdobył sławę i uznanie na krwi delfinów, o martwych rybach w zatrutych rzekach, o huraganach, zatapianych wyspach, i o bagnach, które nie dają schronienia. Jest też o nadziei, rodzącej się niczym śpiew ptaków nad Odrą za każdym razem, gdy uda się coś zrobić na rzecz ochrony środowiska. Możemy cieszyć się z traktatu o ochronie bioróżnorodności na wodach międzynarodowych.

W liście zostawionym po pogrzebie lodowca dla przyszłych pokoleń pojawia się zdanie: „Tylko wy będziecie wiedzieć, czy nam się udało”. Czytajmy to wydanie specjalne jak listę naszych przewinień, a także spis rzeczy, które trzeba zrobić, zanim będzie za późno.

MAGAZYN OPINII Pismo.

WYDANIE SPECJALNE I / 23

PROZA

Wody odeszły | 2
DOMINIKA SŁOWIK

POEZJA

Góra wody | 7
BARBARA KLICKA

Po | 15
JULIA FIEDORCZUK

Rzeka | 88
JULIAN KORNHAUSER

OBRAZ

GALERIA **Małe życie** | 44
DANIEL PETRYCZKIEWICZ, ADAM ROBIŃSKI

MINIATURY

KUMATARO ITO

OKŁADKA **Na zakręcie**
CECYLIA MALIK

PORTRET

8 | **Migawki z Jacques'a Cousteau**
WERONIKA MUREK zgłębia życie słynnego badacza podwodnych światów

ROZMOWA

16 | **Pogoda oceanu**
TOMASZ ULANOWSKI rozmawia z ILONĄ GOSZCZKO o morskich głębinach

REPORTAŻ

36 | **Huragan danych**
PORTER FOX wyjaśnia, czy możemy przewidzieć niszczycielską siłę wodnych żywołów

Z PISMEM U...

54 | **Michała Zygmunta**
ADAM ROBIŃSKI sprawdza, co słychać nad Odrą rok po katastrofie ekologicznej

STUDIUM

28 | **Jak przenieść kraj?**
KATE LYONS o przykładzie wysp Fidżi, które budują model relokacji dla świata

62 | **Mętna woda**
BARBARA SOWA tłumaczy, dlaczego nie wychodzi nam oczyszczanie rzek

ESEJ KULTURA

72 | **Rzeki, których nie ma**
MACIEJ ROBERT wędruje wzdłuż rzek, na których odciskamy niszczycielskie piętno

80 | **Republika bagien**
MICHAŁ POSPISZYŁ opowiada o przestrzeniach wolności dla ludzi i przyrody

MAGAZYN OPINII
Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, **Redaktorka prowadząca:** Katarzyna Kazmierowska,
Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, **Idee:** Karolina Lewestam, **Ekonomia i Technologie:** Zuzanna Kowalczyk,
Redakcja: Urszula Kifer, Magdalena Salik, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, **Korekta:** Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, **Wydanie Cyfrowe:** Ewa Pluta,
Projekt makiety: Jacek Utko, **Redaktorka Artystyczna:** Karolina Mazurkiewicz, **Skład i łamanie:** Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wyszyńska, **Marketing:** Mateusz Roesler, **Promocja:** Ewa Salamon,
E-commerce: Anna Ostrowska, **Prenumerata i subskrypcja:** Marcin Lipiec, **Fundraising:** Inez Jaworska

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Wody odeszły

tekst DOMINIKA SŁOWIK

Trafiła do szpitala tuż przed długim weekendem. Czuła dziwne bóle, coś nie tak wyszło w badaniach, zostawiła ją więc na obserwację, „bo przecież i tak zaraz do nich wróci”. Być może pomógł fakt, że prywatnie prowadził ją ordynator oddziału.

Kiedy jechała taksówką – sama, mąż był tego dnia w delegacji – wszystko wydawało się wilgotne. Ciemnozielona, ciężka pogoda. Taka, o której można by powiedzieć „nabrzmiała”. Miała pewność, że nie padało, w końcu ze stresu i z bólu nie spała całą noc – a jednak wszystko było ciemniejsze, jakby zwilżone wodą. Chodniki, jezdnia, liście na drzewach tracące już ten niepokojący odcień jaskrawej świeżości, trawa, tynk na budynkach, nawet ludzie sunący po ulicach wyglądali, jakby nosili na sobie wilgotne ubrania. Powietrze było rześkie.

Gdy usiadła w taksówce, wzdrygnęła się ze wstrętu, miała wrażenie, że tapicerka też jest mokra.

– Wszystko w porządku? – zapytał taksówkarz, który chyba zauważył, że przeszedł ją dreszcz.

Przesunęła ręką po chłodnym siedzeniu.

– Tak, wszystko w porządku.

CZEMU WSZYSTKO JEST MOKRE? – zapytała pielęgniarkę. – Bardzo chce mi się pić.

– Żadnego picia, będzie znieczulenie.

– Proszę...

Pielęgniarka pogłaskała ją spoconą ręką po głowie. Miała ochotę złapać tę dłoń i polizać palce, wysać z nich wilgoć.

– Jest ci po prostu zimno, dziecko. Pierwszy raz tutaj?

Pokiwała głową.

– Szybko pójdzie.

Wydawało jej się, że leży tam już od wielu godzin, kiedy poczuła, że zimne plastikowe prześcieradło wreszcie zaczyna się pod nią rozgrzewać. Pielęgniarka, inna niż poprzednio, pociągnęła nosem.

– Odchodzą! Czemu pani nie woła?

Usiłowała odpowiedzieć, ale gardło miało tak suche, że tylko się rozkaszała.

Ciepło było przyjemne.

– Jeszcze zostało pani dużo czasu, to dopiero początek – dodała pielęgniarka.

Nie wiedziała, czy to pocieszenie, czy groźba. Wołała uznać, że pocieszenie. Pielęgniarka krzątała się przy niej, a ona czuła, że wreszcie zasypia.

PÓŹNIEJ PAMIĘTAŁA z tego wszystkiego niewiele. Męża nie poinformowano – chociaż powinni byli – więc kiedy się obudziła, obok nie było nikogo. On się nawet nie zorientował, że nie odzywała się od kilkunastu godzin. Poprosiła pielęgniarkę o telefon, zadzwoniła do niego, powiedziała, że to już.

W trzyosobowej sali tylko jej łóżko było zajęte. Na pozostałych nie leżała pościel.

Z dworca przyjechał prosto do niej.

Przypominała sobie, jak przez mgłę, chlupot. Wielka fala, wilgoć, wydawało jej się, że kiedy ją wywożono z sali operacyjnej, wszyscy byli mokrzy. Wszystko ociekało wodą, woda spływała po ścianach, kapała z sufitu, świeciła lekko opalizującym blaskiem.

Słodki, mdły zapach.

– Tak bardzo chciało mi się pić – powiedziała mężowi, kiedy ją zobaczył.

DZIECKO NIE CHCIAŁO SSAĆ. Jeszcze w szpitalu miała z tym problem, położna wydawała się rozczarowana. Nakarmiono dziecko butelką, mimo to wciąż płakało.

– Kolkka. Jakby zjadło normalnie, z piersi, to by tego nie było – orzekła jedna z pielęgniarek.

Wciąż miała wrażenie, że wszędzie unosi się zapach wód płodowych.

Rana po operacji bardzo bolała.

Mąż wziął wolne, tak jak wcześniej ustalili. Nosił dziecko, kiedy płakało, a płakało ciągle. Pomagał jej przystawiać je do piersi. Delikatnie wsuwał mu sutek do ust, podtrzymywał dziecku główkę, którą próbowało odwrócić, wrywając się z ich objęć. Masował jej pierś, wyciskali z niej trochę mleka.



Mąż wrócił do pracy, ona się zagoiła.

Mijały miesiące. Dziecko jadło mało. Nie wiele spało. Płakało też mniej – jakby straciło siły. Czasem zanosilo się bezgłośnym szlochem i wtedy czuła, że jej też brakuje tchu. Wiedziała, że coś jest nie tak.

Coraz bardziej się o nie bała.

Pediatra na kontroli obejrzał je dokładnie, nie zauważył „niczego niepokojącego”. Rzeczywiście, wolno przybierało na wadze, ale wciąż mieściło się w normie.

– Tak bywa przy pierwszym dziecku, mamy się stresują byle czym, a potem maleństwu się udziela. Trzeba się uspokoić.

– Ono w ogóle nic nie je.

– Coś tam chyba jednak je.

Na jej uporczywe naleganie niechętnie zlecił pakiet badań. Wyraźnie się zirytował, kiedy wyjęła komórkę i zaczęła z ekranu odczytywać nazwy, które wcześniej wyszukała w sieci. Mimo to wypisał skierowania, o które prosiła.

Dziecko nie płakało, gdy kłuli je igłą. Wolałaby, żeby płakało. Nawet pielęgniarki wyglądały na zdziwione.

Badania wyszły idealnie.

Dziecko uspokajało się teraz tylko przy mężu. To ją bolało. Mąż wracał z biura późno, akurat na kąpiel. Kąpał je sam, ona bała się, że zrobi mu krzywdę. Po kąpeli dziecko, umęczone całym dniem płaczu, zasypiało. W nocy wstawiała kilka razy, zbliżała ucho do maleńkiej twarzy jak do morskiej muszli, licząc płytkie oddechy, pomiędzy którymi zapadała coraz dłuższa cisza.

Była wyczerpana. Czuła, że dziecko cierpi, ale nikt jej nie wierzył. Tak bardzo chciała mu ulżyć.

Zacząła zastanawiać się nad tym, co powiedział lekarz – czy to ona robi mu krzywdę? Czy przeraża je swoim niepokojem? Zażąda strachem?

W przychodni widziała ogłoszenia o Klubie Maluszka. „Codzienne atrakcje dla niemowląt”. Rytmika, gimnastyka, śpiew, zajęcia plastyczne, joga dla mam z dziećmi, wyjścia do kina... Czuła, że jeśli czegoś natychmiast nie zrobi, jeśli nie wyjdzie z domu, nie przeciwstawi się tej niemocy, to już nie będzie odwrotu. Tego samego dnia zapisała się przez internet na zajęcia.

Dziecko wyło. Płakało, kiedy je przebierała, płakało, kiedy podeszła do grupy innych

mam, płakało, gdy instruktor się z nimi witał. Wszyscy na nią patrzyli.

Nie mogła tego znieść. Spuściła wzrok.

Zrobiło się jej zimno. Zaczęła ją boleć brzuch. Nieogolone włosy na nogach wyglądały jak drobne pęknięcia. Kostium okazał się za mały, z trudem się w niego wcisnęła. Trzymała płaczące niemowlę w ramionach i ze wszystkich sił starała się nie rozplakać razem z nim.

Ostatni raz była na tym basenie jako mała dziewczynka. Wydawał się wtedy znacznie większy. Płytki popękały, wszystko wyblakło, straciło swój jaskrawy odcień błękitu. Wody było znacznie mniej, jakby przez lata wyciekła z basenów, powoli wyszczyła się, odparowała i nigdy nie powróciła w pozornym cyklu. Ciemny nalot grzyba obrysowywał kontury tabliczki z napisem „uwaga, głęboko”.

Słyszała, że instruktor mówi coraz głośniejsze, starając się przebić przez dziecięcy płacz. W końcu przerwał, spojrzał na nią:

– Wszystko w porządku? Trochę nie w sobie jesteśmy, co?

– Przepraszam, chyba powinnam wyjść...

– Zawstydzona czuła, że łzy zaczynają ściekać jej po policzkach. Zarzuciła na ramię torbę z ręcznikami.

– Szkoda teraz rezygnować, proszę spróbować skorzystać chociaż z brodzika, może się spodoba. Wyjść zawsze pani zdąży. Tylko trzeba założyć czepek.

Złapała się za głowę, włosy związała wcześniej w ciasną kitkę. Były przetłuszczone, wiedziała o tym.

– Nie mam... Nie pomyślałam...

Instruktor patrzył na nią ze współczuciem.

– Proszę po prostu dzisiaj uważać, żeby nie zamoczyć głowy, dobrze?

Kiedy zanurzyli się w wodzie, dziecko, oszołomione nowym zapachem chloru i szumem filtrów, naprawdę ucichło.

Z wrażenia wstrzymała oddech.

Wreszcie.

Wpatrywało się w nią bystrymi oczami. A potem się roześmiało. Przepeniło ją nagłe szczęście.

Pluskali się w brodziku bardzo długo. Z zimna znów zaczęła dygotać. Dziecko było zachwycone.

– Podoba ci się? Troszkę relaksu z mamusią? – gaworzyła do niego i czuła ogromną

ulgę. Widziała po raz pierwszy, że dziecko jest zadowolone i spokojne. Być może lekarz miał rację i to wszystko była wina jej lęku.

Taki spokój.

Taki wielki, wielki spokój. Reszta grupy przeszła do głębszego basenu. Byli sami, tylko we dwoje.

Zanurzyła dziecko pod wodą.

Nie szarpało się. Widziała przez tafłę jego szeroko otwarte oczy. Wpatrywało się w nią. Czy to możliwe...?

Odniosła wrażenie, że ktoś jeszcze jej się przygląda. Ratownik.

Pospiesznie wyjęła dziecko spod wody. Natychmiast zaczęło płakać, aż całe poczerwieniało od szlochu i zaczęło się krztusić. Owinęła je w ręcznik i ruszyła do wyjścia. Ratownik nie spuszczał z niej wzroku.

— MIMO ZMĘCZENIA BIEGŁA. Wózek podskakiwał na krzywych płytach chodnika.

W domu rozłożyła na środku pokoju mały basenik, nalała do niego ciepłej wody. Sprawdziła temperaturę łokciem.

Wsadziła płaczące dziecko do środka. Natychmiast się uspokoiło.

Kiedy tylko woda stygła, dolewała ciepłej. Dziecko było zachwycone. Bawiło się, chlapało, śmiało.

Podtrzymywała je rękami w wodzie, skóra na palcach zupełnie jej się pomarszczyła i przypominała wysuszony owoc.

Obudził ją strach. Kilka sekund zajęło jej zrozumienie, że zasnęła. Co ona wyprawia?!

Dziecko leżało nieruchome w płytkiej wodzie. Rzuciła się ku niemu, uniosła bezwładne ciało... Spało. Po prostu spało. Szlochała, wtulając nos w pachnący chlorem dziecięcy karczek.

Wytarła je, położyła do łóżka. Nie obudziło się nawet na chwilę.

Uśmiechnęła się. Pierwszy raz naprawdę przy niej zasnęło. Od początku miała rację.

Kiedy mąż wrócił i zobaczył na środku pokoju basen, miał dziwny wyraz twarzy. Przez chwilę nic nie mówił, spoglądał na żonę, która uśmiechała się do niego szeroko. W końcu też się uśmiechnął, pocałował ją w czubek głowy.

– Cieszę się, że ci lepiej.

Jednak kiedy rano wychodził do pracy, odwrócił się jeszcze w drzwiach.

– Ale tego basenu to może dzisiaj już nie wyjmij, co kochanie?

Tym razem schowała basen, zanim mąż wrócił.

—
PRZEZ KOLEJNE TYGODNIE dziecko rosło jak na drożdżach. Uśmiechało się i nie spuszczało z niej wzroku. Przestało płakać. Było cichutkie. Nawet zbyt ciche. Nie wydawało z siebie żadnego dźwięku. Dawno temu skończyło pół roku, powinno zacząć gaworzyć. Czasem, jeśli zostawiła je na chwilę samo w pokoju, kiedy na przykład robiła coś w kuchni, łapał ją zniecierpliwienie i miała wrażenie, że jest w domu zupełnie sama. Przystawała, nasłuchiwała, ale w ciszy słyszała tylko głosy z sąsiednich mieszkań i rosnący szum w rurach, kiedy woda przebiegała przez instalacje w budynku niczym przez wspólny krwiobieg.

Dziecko robiło się coraz silniejsze.

Samo siadało, a kiedy zacisnęło coś w piąstce, nie była w stanie mu tego odebrać.

Raz, gdy nie chciało, żeby odchodziła od łóżeczka, złapało jej kciuk z taką siłą, że krzyknęła z bólu. Musiała zostać, póki nie zasnęło, ale nawet wtedy nie rozluźniło uścisku.

Przez sen często wierzgało nogami, więc owinęła pręty łóżeczka miękkim materiałem, żeby przypadkiem nie zrobiło sobie krzywdy. Przy którymś przewijaniu kopnęło ją tak mocno, że straciła równowagę, upadła na szafkę i boleśnie się uderzyła.

Wyciągało do niej rączki.

Gdy je przytulała, pachniało młdą i słodko. Czuła wtedy, że niemal rozplywa się z miłością.

Tuż przed przyjściem męża wyjmowała dziecko z wody, wycierała.

– Kąpałaś je? – pytał czasem mąż, jeśli w pośpiechu niedokładnie osuszyła małe ciało ręcznikiem.

– Musiało się zgrzać. Ciepło dzisiaj.

Mąż napuszczał wodę do wanienki i mył dziecko, a ono, zachwycone, uśmiechało się również do niego.

—
MĄŻ ZNÓW ZACZĄŁ jeździć w delegacje. Ucieszyła się. I tak nic by nie zrozumiał. Któregoś dnia rano odkryła, że w kranie nie ma

wody. Zwiłżyła buzię dziecka wodą mineralną. „Może to znak” – pomyślała.

W rurach wyło, jakby ktoś wpuścił tam wiatr.

Ubrała się, wrzuciła do wózka dwie butelki wody.

Już w pociągu zorientowała się, że zostawiła portfel ze wszystkimi pieniędzmi przy kasie biletowej.

Miała przy sobie bilety, pełne butelki i nic więcej. Nie chciała wracać.

Męczyło ją pragnienie, ale nie wypita nawet łyka wody, polewała nią główkę dziecka, które mrugało do niej sennie.

Przez wagon co jakiś czas przechodziła kontrolerka. Zamiast na ludzi, patrzyła jednak w okna. Kiedy ktoś spróbował któreś uchylić, rzuciła się na niego bez ostrzeżenia, złapała za metalową rączkę w ostatniej chwili.

– Klimatyzacja – wyjaśniła. – Pod żadnym pozorem nie wolno otwierać okien.

Jechali teraz przez jakąś wieś, ale na zewnątrz nie było widać nikogo, nawet ptaków.

Czuła, że już nie wytrzyma, bardzo chciało jej się pić. Z dzieckiem na rękach poszła do łazienki. Drzwi były zamknięte. Słyszała, że ktoś jest wewnątrz. Pukała. Nikt nie wyszedł ze środka aż do ostatniej stacji.

Tramwajem pojechała na gapę, na szczęście nie było kontrolerów. Pchała wózek w stronę plaży po deptaku z desek. Czemu tak rzadko tu przyjeżdżają, skoro jest tak blisko? Suchy wiatr szarpał jej włosy. Tak bardzo chciało jej się pić.

Łazienki przy plaży były płatne, ubłagała jednak, żeby ją wpuścili za darmo. Nie chcieli, ale wyjaśniła że potrzebuje tylko trochę wody z kranu do butelki. Weszła do środka z dzieckiem, pracownica stanęła w progu z założonymi rękami, jakby chciała sprawdzić, czy nie kłamała.

Odkręciła kran, jeden kurek, potem drugi. Nic, nawet kropli, umywalkę pokrywał kurz i żółty kamień, jakby nikogo od dawna w tym miejscu nie było.

– Nic nie leci.

– Niemożliwe.

Spróbowała z drugą. Odkręciła kurki do oporu. W rurach słyszała narastające buczenie, hałas, jakby coś nadciągało i nie była to wcale woda. Zakręciła je gwałtownie.

Kobieta podeszła do niej, przejechała ręką pod kranem.

Czytaj felietony publikowane tylko online:



Bocznymi drogami

ANDRZEJ ANDRYSIAK

O tym, czego nie widać z warszawskiej ulicy Marszałkowskiej.



Błąd systemu

SYLWIA CZUBKOWSKA

O kosztach innowacji, które płacimy już dziś i za które przyjdzie nam zapłacić w przyszłości.



Pismo ze świata

PAWEŁ MARCZEWSKI

O nowych wydarzeniach, zjawiskach i trendach ze świata.

– Rzeczywiście, coś się musiało stać, dopiero co działało.

Miała wrażenie, że kobieta kłamie.

Poszła alejką przez wydmy. Sosna na skraju plaży była martwa, powiew ciepłego wiatru sygnął jej w twarz czerwonymi igłami. W ciszy rozległ się nieprzyjemny dźwięk.

Dopiero po chwili się zorientowała, że to płacz jej dziecka. Suchy, zachrypnięty szloch po miesiącach milczenia.

Drżącymi dłońmi odkręciła butelkę, reszką wody zwilżyła mu główkę, rączki, stopy.

Ruszyła przez plażę, ale koła wózka natychmiast ugrzęzły w piachu. Wzięła dziecko na ręce, wózek zostawiła razem ze wszystkimi rzeczami. Na brzegu siedział jakiś człowiek, mimo słońca zakutany w wiele warstw ubrań. Po kilku krokach zsunęła buty i również zostawiła je w piasku. Mężczyzna patrzył na to jak na zwykły widok. Obejmował się ramionami, jakby się bał, że może coś stracić.

Szła szybko, chcąc zniknąć z zasięgu jego wzroku.

Czuła, że dziecko w jej ramionach staje się coraz cięższe, coraz bardziej bezwładne. Oddychało z wysiłkiem, jakby nie miało siły zaczerpnąć ostrego morskiego powietrza.

Po prawej stronie brzeg zabudowano grodzonymi rezydencjami. Szła, póki z oczu nie zniknęły jej ostatnie budynki, przed sobą miała piasek, za sobą piasek, po prawej ciemny las. Zostali sami.

Fale się uspokoiły. Weszła do wody. Nabrała jej dłonią, napiła się.

Była gorzka.

Położyła dziecko, mocno trzymając je za rączki. Sól utrzymywała je na powierzchni jak na materacu.

Wierzgało nóżkami.

Spojrzało na nią.

Złapała je pod paszki i zanurzyła całe, mocno przytrzymując, żeby woda nie wypłuła go znów na powierzchnię.

Fale powoli zaczęły rosnąć. Słońce chyliło się ku horyzontowi. Ręce jej drętwiały.

Dziecko pod jej dłońmi znieruchomiało. W końcu zebrała się na odwagę i też zanurkowała w lodowatą wodę.

Dziecko miało opuszczone powieki. Wyglądało, jakby drzemało. Zbliżyła twarz do małej buzi.

Wtedy nagle otworzyło szeroko oczy. Spojrzało wprost na nią.

Woda była mętna, ale ona widziała, że dziecko wypowiada swoje pierwsze słowo. Zrozumiała je, chociaż go nie usłyszała. Wzięło długi, głęboki oddech.

„Mama”.



Więcej opowiadań znajdziesz i wysłuchasz na: magazynpismo.pl/kultura/opowiadanie



POEZJA

Góra wody

BARBARA KLICKA

—

Tymczasem nie może cię znieść ani przestawić. Na nagiej plaży,
w zapiaszczonych ciuchach zaklina tę uprząż, żeby się nie starła, nie
skruszyła na kwarc. Jak mogłaby ci wybaczyć, że żadne jej słowo nie ma
mocy wcielać

Pamięta – amantom na szczytach purpurowych schodów ani się
śniło oszczędzanie na wypadek zmian okoliczności. A tobie się śni i skąd
mogła wiedzieć, że to będzie raczej jak kolaboracja, jak kolega z kolonii,
z którym się potem wymienia po liście.

Za morze pójdzie,

do zmulonej delty.

*Wiersz Barbary Klickiej pochodzi z domeny publicznej.
Więcej wierszy tej poetki i innych twórców na stronie Wolnelektury.pl*

BARBARA
KLICKA

(ur. 1981), poetka, pisarka, animatorka kultury. Współpracuje z portalem Wolne Lektury Fundacji Nowoczesna Polska. Laureatka Wrocławskiej Nagrody Poetyckiej Silesius i Nagrody Literackiej Gdynia za tomik poezji *nice* (2015). Nominowana do Nagrody Literackiej Gdynia i Nagrody Conrada za debiut prozatorski *Zdrój* (2019). Członkini zespołu Pochwalone, współautorka na płycie *Czarny war*.



PORTRET

Migawki z Jacques'a Cousteau

tekst WERONIKA MUREK

—
BYŁ WIELOMA WSPANIAŁYMI osobami naraz: filmowcem,
badaczem, odkrywcą, kapitanem legendarnego statku „Calypso”.
Tylko mężem i ojcem trudno było mu być.



Bawili się w ogrodzie: Jean-Michel, jego ojciec Jacques-Yves Cousteau i kaczor Gedeon. Tylko ich troje, reszta świata nie istniała; Jean-Michel, jego ojciec i kaczor Gedeon. Po latach chłopak wspomni w biografii *My Father, the Captain: My Life with Jacques Cousteau (Mój ojciec, kapitan. Życie z Jacques'em Cousteau)*: „Kochałem te chwile ojcowskiej uwagi, choćbym musiał je dzielić z domowym ptactwem” (przeł. W.M.). Między wierszami zauważył, że dla Jacques’a Cousteau rodzina była najważniejsza na świecie, od rodziny zaś ważniejsze było morze, a od morza ważniejsza była ciekawość. Gdy dostał w prezencie aparat fotograficzny umierał od środka, jeśli nie wiedział, w jaki sposób działa i co jest wewnątrz. Rozkładał urządzenie i składał je na nowo, tak aby ulepszać jego działanie. Nie słyszał słowa „nie”. Nie przyjmował odmowy, bo – jak zauważył Jean-Michel – „To, że coś jest obecnie niemożliwe, nie oznacza, że nie będzie możliwe w przyszłości”. Uwodził widzów i sponsorów, bliskich trzymał na dystans, przede wszystkim zaś wierzył w ludzką wydajność. Wierzył w przyszłość, przeszłością nie chciał się zajmować.

Całe życie szukał wolności.

Jacques Cousteau, autor słynnego cyklu telewizyjnego *Undersea World (Podwodny świat)*, wielki badacz mórz i oceanów, jest dzieckiem żywym, ciekawskim i kruchym. Pochodzi z Żyrondy, regionu słynnego z winnic. Prędko decyduje się zamienić wino na wodę, niby w odwrotnej wersji historii o Kanie Galilejskiej. Zwłaszcza, że rodzinną winnicę przegrywa zawczasu w karty jeden z krewnych. Woda zaś pociąga Cousteau od kiedy tylko pamięta. Kiedy był małym chłopcem, woda go uspokajała. Wspominał później – już jako dorosły mężczyzna – jaką przyjemność sprawiał mu sam dotyk jej powierzchni: „fizycznie, sensualnie. Woda mnie fascynowała”.

Swoją pierwszą kamerę dostaje od ojca. Dla nieśmiałego chłopca to okazja, aby móc podglądać, nie będąc jednocześnie widzianym. Może zaspokoić ciekawość bez narażania się na niepotrzebne rozmowy i bez konieczności odpowiadania na nieustanne pytanie: Dlaczego i po co? Jeśli ma ochotę, może zagadywać do ludzi – dzięki aparatowi zawsze ma ku temu dobry powód.

Może zaglądać do kuchni i na zaplecze bez oskarżeń o myszkowanie. Może podrywać dziewczyny, podpytywać mężczyzn przy pracy. Poza tym film jest jego wielką pasją – i jak sam uważa – jedyną rzeczą, do której ma talent.

Film to sposób na życie, ale i środek do celu. Oprócz filmu Jacques’a pociągają przygody. Interesują go wszystkie te miejsca, które same w sobie stanowią materiał na film. A więc niebo, morze, podróże dookoła świata. A więc wojsko, a więc marynarka, która ma mu zapewnić przepustkę do podróży i okazję do przygód (jak napisze o tym jego syn w swoich wspomnieniach). Uczy się przeciętnie, ale udaje mu się dostać do wyższej szkoły morskiej.

Jednym z etapów szkolenia żołnierzy jest rejs na helikopterowcu: mają nasiąknąć światem, nauczyć się dostrzegać i doceniać jego odmienność, mają obudzić w sobie ciekawość, głód życia, zew przygody. Cousteau jest głodny.

Niewiele brakowało, a wiódłby życie na lądzie, łagodne i pozbawione silniejszych wzruszeń. Serce ma zbyt słabe, ale postanawia o tym nie wspominać lekarzowi wojskowemu. Cousteau właściwie nie ma planu, ma tylko nadzieję, że wszystko ułoży się dobrze. Jest kilka schorzeń, które da się ukryć, ale serce to trudny przeciwnik; nie zwalnia, nie poddaje się, wyjawia wszystko. Cousteau zakłada urządzenie do pomiaru objętości płuc; lekarz prosi: „Niechże pan chwilę poczeka”. Tego dnia w ośrodku wojskowym panuje zamieszanie. Tego dnia lekarz ma wiele spraw na głowie, a każda z nich wydaje się ważniejsza od drugiej. To trochę trwa – ta nagła sprawa, która nie mogła poczekać ani chwili dłużej – i lekarz wraca. Cousteau czuje uderzenia serca: mocne, szybkie jak nigdy. „Już po badaniu?” – pyta lekarz, nie ma dzisiaj głowy, jest roztargniony, i Cousteau przyjmuje to roztargnienie. „Już chyba po badaniu, prawda?” Chłopak kiwa głową. Jest już bliżej przygody, bliżej miejsca, z którego łatwiej zaspokajać ciekawość. Ale to jeszcze nie morze, na razie obstawia niebo, szkoli się na pilota. Jego życie zmienia wypadek samochodowy: wypada z drogi na pustkowiu, łamie rękę w dwunastu miejscach, długo dochodzi do siebie. Kariera lotnicza się oddala, ale w trakcie

długotrwałego procesu rehabilitacji okazuje się, że tym, co najbardziej służy jego zdrowiu, jest pływanie.

Zaczyna treningi. Coraz więcej czasu spędza na plażach w towarzystwie Philippe’a Taillieza – jednego z pierwszych nurków w ówczesnej marynarce wojennej, i z Frédérikiem Dumasem – podwodnym poławiaczem ryb. Wraz z Tailliezem i Dumasem stają się trzema morskimi muszkietierami. Cousteau zaraża się ich pasją do głębin; za sprawą pożyczanego od nich sprzętu może spędzać coraz więcej godzin pod wodą.

Cóż tam widzi Cousteau?

Do ciemności – i co cudu – oko musi się przyzwyczaić. Musi dać sobie czas: na to, by przywyknąć, i na to, by ochłonać. Wyobraźmy sobie tę scenę, jakbyśmy wyobrażali sobie bardziej konwencjonalne znaleziska archeologiczne. Ten moment, 4 listopada 1922 roku, gdy Howard Carter, odkrywca grobu Tutanchamona, przytyka oko do szczeliny: jest pierwszym, który ma szansę zobaczyć to, co skrywały tysiąclecia. Za nim przestępują z nogi na nogę inni badacze (wśród nich być może lord Carnarvon sponsorujący wyprawę), którzy ponaglają: „Czy widzi pan tam coś?”

Odpowiedź brzmi: „Tak, cuda”.

Jacques Cousteau powie, że swojej miłości do morza nie potrafi wytłumaczyć: „Wiem tylko, że czasami mamy dostateczne szczęście, aby móc się zorientować, że oto nasze życie uległo zmianie, że porzuciliśmy to, co stare, i zajęliśmy się tym, co nowe – i że zmiana ta jest nieodwracalna. To właśnie przytrafiło mi się tamtego lata” [przeł. W.M., cyt. za Bradford Matsen, autor biografii *Jacques Cousteau: The Sea King (Jacques Cousteau. Król morza)*].



Cousteau zaczyna coraz więcej czytać o morzu, próbuje połączyć dwie pasje: tę związaną z filmem i tę związaną z wodą. Eksperymentuje ze słókiem po owocach; wsuwa kamerę do środka i nurkuje.

— SIMONE MELCHIOR jest kobietą elegancką, stoicką i głodną życia. Wychowała się w japońskim mieście portowym Kobe, świetnie włada angielskim i japońskim. Jej ojciec sprawuje funkcję attaché Francji, wydaje leniwe przyjęcia, podejmuje gości, prowadzi firmę Air Liquide, produkującą gazy techniczne.

Poznają się w Paryżu w 1937 roku.

Cousteau ma dwadzieścia sześć lat i akurat dochodzi do siebie po wypadku samochodowym. Mógł zginąć, ale nie przeszkodziło mu to w zamianie tego wydarzenia w anegdotę. Simone pochodzi z admirałkiej rodziny i marzy o tym, aby spędzić życie na morzu. Cousteau jest obietnicą przygody: opalony, bardzo brzydki, pachnący morzem, zajęty kamerą, uganiający się za kolejnym obrazem, za przygodą, jak opisze go później Simone. Melchior jest pragmatyczna: życie, które chce wieść, nie jest życiem dostępnym dla większości kobiet – zakłada więc: co on uroni z życia, to ona weźmie, czego on nie doje, ona chętnie skończy. Zawierają umowę: ona da mu synów, on – w perspektywie kolejnych lat – życie na morzu.

Simone Melchior znana będzie wśród współpracowników Cousteau jako La Bergere: pasterka.

Cousteau napisze o żonie: „Była kucharką, matką trzydziestu żeglarzy, tą, do której przychodziło się po radę, tą, która kończyła kłótnie, która goniła marynarzy do golenia się, która wymagała od nich, żeby dawali z siebie wszystko. Można było na nią liczyć, była najsurowszą krytyczką i największą fanką. Uśmiechem poranka i dobrą, ciepłą nocą. Życie na «Calypso» było możliwe bez mnie, ale nie bez niej” (Samuel G. i Deborah Lecocq, *Simone Cousteau, the Soul of the Calypso*, przeł. W.M.).

Simone pilnuje wszystkich spraw związanych z życiem na morzu, organizuje codzienność całej załogi, dba o to, aby głodni jedli, zmęczeni odpoczywali, zaś ci, którzy nigdy nie odpuszczali, mieli do tego warunki, i aby nikt nie zawracał im głowy. Poza

tym nadaje sens wszystkim przygodom – Jean-Michel wspominał po latach: „Ojciec pędził z miłości do pędu, nie z miłości do celu. Ona ten cel nadawała”.

— PO ŚLUBIE MIESZKAJĄ nieopodal Tulonu, on, Simone i dwóch ich synów, Jean-Michel i Philippe. Prowadzą dom otwarty, zawsze pełen gości. Dużo czasu spędzają na morzu, chociaż Cousteau jest jeszcze wciąż – jak pisze autor biografii – żeglarzem bez okrętu. „Byliśmy – wspomina jego syn – niby ryby: ojciec miał małą drewnianą łódkę zdolną pomieścić sześć czy osiem osób; ładowaliśmy się na nią i w tuzin, rozszczebiotani, weseli, my, rodzice, ich przyjaciele”.

*„Czy macie dzieci – dopytywał – i czy chodzą one do szkoły?”
I dziwił się, kiedy tamci odpowiadali, że tak, naturalnie jak gdyby było to pytanie o to, czy podają dzieciom śniadania.*

„Przez pierwsze lata dorastania nie chodziliśmy do szkoły – wspomina Jean-Michel w swojej opowieści o ojcu. – Uczyli nas rodzice. Jeśli akurat o tym pamiętali. Pływaliliśmy sobie radośnie, a nasze życie było jedną niekończącą się przygodą. Zdarzało się, że ojciec budził mnie w nocy, mówił: «Wstawaj, pora nauczyć się czegoś o gwiazdach». Wychodziliśmy na pokład, kładliśmy się na plecach. Wiedział wszystko – uważałem, że wie wszystko. O wszystkim potrafił opowiadać”.

Do szkoły trafiają dopiero jesienią 1945 roku, bo ich ojciec dowie się, że tak trzeba.

„Czy macie dzieci?” – dopytywał znajomych lekko, konwencjonalnie, ot, spłoszony rodzic poszukujący inspiracji na zdrowe przekąski. „Czy macie dzieci – dopytywał – i czy chodzą one do szkoły?” I dziwił się, kiedy tamci odpowiadali, że tak, naturalnie jak gdyby było to pytanie o to, czy podają dzieciom śniadania.

W wywiadzie dla „New York Timesa” z 1972 roku Cousteau powie o małżeństwie:

„To sztuka absolutnie archaiczna. Narzędzie, którego używają ludzie, żeby zapomnieć, że ostatecznie wszyscy jesteśmy samotni i śmiertelni” (przeł. W.M).

Pierwsza zasada nurkowania: kto pływa samotnie, ten pływa w złym towarzystwie.

Nigdy nie powinno się zapuszczać w wodę samemu.

— ŻYLI WE FRANCJI spokojnie, Jean-Michel, jego brat Philippe, ich matka Simone (Cousteau i Melchior wzięli ślub w 1937 roku) i ojciec. Żyli razem szczęśliwie, reszta świata nie istniała. Jean-Michel Cousteau wspominał: „Któregoś dnia bawiliśmy się na dworze, podnieśliśmy głowy: w dół spłynęli przyjaźni niemieccy spadochroniarze, wylądowali, poprawili mundury, pomachali do nas, ukłonili się i zniknęli. Zrozumieliśmy wtedy, że wojna nas nie ominie”.

Cousteau w trakcie działań wojennych pracuje w tajnych służbach w morskiej dywizji zwanej Groupe d'études et de recherches sous-marines. Nawet rodzina nie zdaje sobie do końca sprawy z tego, czym dokładnie się zajmuje Jacques: „Matka orientowała się mniej więcej, ale ojciec nigdy o tym nie mówił. Ja i mój brat nie wiedzieliśmy niemal nic prócz tego, że jego praca jest ważna i że z tego powodu nie może spędzać z nami zbyt wiele czasu. Później dopiero zdaliśmy sobie sprawę z tego, co robił. Zrozumieliśmy jego frustrację spowodowaną tym, że nie potrafił przekonać przełożonych do realności zagrożenia, jakie wywołuje ofensywa niemiecka”.

Jean-Michel wspomina jeszcze: „Trzymał na łodzi stare pianino, nikt z nas nie wiedział, skąd się tam wzięło. Z nudów, dla hecy, spędzali czas – on i jego przyjaciele – na strzelaniu do instrumentu tak, jak strzela się do tarczy z rzutkami. Wydawało się, jak gdyby jednocześnie byli na wojnie i w samym środku genialnej zabawy; jakby okoliczności zmieniały nieco kontekst, ale znów nie tak bardzo, aby doświadczenie wojenne kładło się cieniem na wspaniałej chłopięcej przygodzie”.

Wojna nie zmieni też przyjaźni między trzema morskimi muszkieterami. Wraz z Frédériciem Dumasem i Philippe'em Tailliezem kręcą filmy, które montują

w większe opowieści: lawice ryb, dno ciepłych wód, wraki statków, delikatna, psychodeliczna muzyka i spokojny głos narratora. Na jednym z filmów Cousteau używa prototypu akwalungów, aparatu umożliwiającego przebywanie pod wodą, składającego się z butli, automatu oddechowego i przewodu łączącego butlę z ustnikiem.

Jeszcze w 1935 roku niejaki Yves Le Prieur, oficer marynarki francuskiej i wynalazca, używa podobnego sprzętu, rzecz jednak w tym, że przepływ skompresowanego powietrza w żaden sposób nie daje się kontrolować, co sprawia, że czas spędzony pod wodą nie jest szczególnie długi. Cousteau adaptuje urządzenie, korzystając z metod inżyniera Émile'a Gagnana, który wprowadził ważną modyfikację związaną z regulacją przepływu. Uważa, że technologia powinna dążyć do wyzwolenia, a nie do stawiania coraz wymyślniejszych ograniczeń. Urządzenia starszej daty – choćby te opisywane w książce *Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi* Jules'a Verne'a – psu na budę. „Odpowiednie [są] do snucia historii z gatunku *science fiction*, ale nie do życia, a zwłaszcza już nie do życia pod wodą” – pisze w swoich notatkach. Przeszkadza mu to, że z pomocą tych urządzeń nie można poruszać się horyzontalnie, nie da się pływać jak ryba. Nie da się nurkować we wrakach statków. Nie da się schodzić do podwodnych jaskini.

Owoc tej pracy – dokumentalny film *Épaves (Wraki)* – debiutuje na Festiwalu Filmowym w Cannes w 1946 roku. Czas jest szczególnie: to pierwsze ważne wydarzenie kulturalne we Francji po zakończeniu II wojny światowej. Jean-Michel wspomina pełną entuzjazmu reakcję widowni, która zobaczyła film na dużym ekranie: nigdy wcześniej nie widziano podobnego materiału, nigdy wcześniej nie wyobrażano sobie nawet, że człowiek mógłby pływać w wodzie z taką swobodą, na prawach równych morskim stworzeniom, i że kamera może go w tej podróży nie odstępować na krok. To był wielki sukces; Jacques nim nasiąkał.

Kariera Cousteau zaczyna się rozpętać; wie, że jeśli chce nadal prowadzić swoje badania, musi znaleźć na nie pieniądze. Wraz z Dumasem pisze książkę *Le Monde du silence (Świat milczenia)*, w której opisuje doświadczenia nurkowania wśród wraków statków. Dokument, który kręci w 1956 roku – pod tym samym tytułem – staje się pierwszym filmem

Z nakręconych wcześniej filmów wycina sceny, na których rejestrowano zabijanie morskich stworzeń. Wycina wysadzanie raf koralowych na potrzeby badań. Wycina sceny ujeżdżania wielkich żółwi.

dokumentalnym nagrodzonym Złotą Palmą w Cannes. W latach 1968–1975 produkuje i przygotowuje serię dokumentów *Undersea World of Jacques Cousteau (Podwodny świat Jacques'a Cousteau)*, która zdobywa dużą popularność na całym świecie.

Nie jest już żeglarzem bez okrętu.

Za jednego dolara rocznie wynajmuje okręt „Calypso”, który kiedyś służył do poławiania min. Moment, w którym zobaczył „Calypso”, opisywał wielokrotnie i w sposób żarliwy: „Zobaczyłem ją zacumowaną między łódkami rybackimi i statkami wojennymi – i wiedziałem, że jej pragnę, że ją posiadam, że pożegluję nią na koniec świata”. Urządził na nim laboratorium i bazę dla nurków, a także dom dla całej rodziny i załogi. Być może to łódź stanie się największą miłością jego życia; być może jej jednej pozostanie wierny do końca.

Prawda o tym, w jaki sposób wszedł w posiadanie okrętu, może być nieco mniej romantyczna. Brylował gdzieś na południu Francji, w jednej z licznych restauracji, w jednym z wielu kurortów turystycznych; Cousteau potrafił kraść serca samym monologiem. Mógł uważać, że do nurkowania

potrzeba koniecznie partnera, jeśli jednak chodzi o sztukę konwersacji, preferował solówki; wiedział przy tym, kiedy ściszać głos, a kiedy – i w czym towarzystwie – go podnosić. Tym razem podniósł głos tak skutecznie, że jeden z gości, mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku, podszedł do niego po kolacji i powiedział: „Przypadkiem podsłuchałem państwa rozmowę i być może będę mógł wspomóc pana odpowiednim statkiem”.

Tak się stało.

W 1957 roku Cousteau cieszy się tak wielką sławą, że obejmuje posadę dyrektora Muzeum Oceanograficznego w Monako. W muzeum szukają akurat kogoś, kto jednocześnie znałby się na rzeczy i byłby na tyle sławny, żeby przyciągnąć odwiedzających. Książę Albert romansuje właśnie z Grace Kelly, a Monako trafia na usta całego świata, staje się modnym miejscem, rajem dla bogatych. Cousteau o tym wie. Kręci się po rautach, podnosząc głos i opowiadając o przygodach i o pieniądzach, których potrzebuje na dalsze eksploracje. W muzeum wiecznie brakuje pieniędzy, brakuje też gości. Cousteau wpada na pomysł: trzeba przyciągnąć zainteresowanie, bo zainteresowanie przyciąga pieniądze, a pieniądze oznaczają kolejne przygody – dla przygód zaś byłby w stanie zaryzykować wszystko. Postanawia: otworzy delfinarium. Rozsyła ludzi po Morzu Śródziemnym, niechże wyłapią i sprowadzą delfiny.

„Spędzałem ze zwierzętami sporo czasu – napisze potem Jean-Michel – i nauczyłem się od nich ważnej rzeczy o życiu. Delfiny dzielą się na trzy rodzaje. Pierwsza grupa dostosowuje się do nowego otoczenia. Druga opiera się adaptacji i niedługo potem umiera. Trzecia grupa jest wiecznie pomiędzy; [te zwierzęta] nie potrafi się dostosować i odpuścić, pozostają za to w ciągłym zdziwieniu, jak gdyby ani nie wierzyły w nowy świat, w którym się znalazły, ani nie wierzyły w stary świat, który przyszło im opuścić. Te, które umierały, usuwano. Te, które nie wierzyły w nic – wracały do morza. Trzecią grupę przenoszono do jeszcze mniejszego basenu”.

Z jednym delfinem Jean-Michel zaprzyjaźni się szczególnie. Ale zwierzę – wcześniej wesołe i energiczne – wraz z upływem czasu i zmianą miejsca, będzie coraz częściej zmęczone, bardziej wycofane. Weterynarz